ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 1. Kwietnia 1893. Nr. 7.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Herb rodziny Peccich.

(Dokończenie).

V.

Mówiono, że w całej włoskiej krainie nie ma szczęśliwszych ludzi, od mieszkańców domku w Carpinetto. Uprzejmość i słodycz gospodyni domu działała jak promień słoneczny na całe otoczenie. Pod jej szczęśliwą ręką, przyjmowały się zarówno róże pod oknami domu, jako też ziarna zdrowych zasad w sercach dziatek, któremi ich Bóg obdarzył.

Od dnia ślubu, upłynęło już lat piętnaście, Lilia była matką dziesięcioletniego chłopczyka, imieniem Ludwik, i czternastoletniej dzieweczki, dla niej Lilią nazwanej, i do matki też tak podobnej, że gdy obok siebie stały, można je było wziąć za dwie siostry rodzone.

Antonio Pecci czuł się bardzo szczęśliwym, a inni z radością patrzyli na tego męża, który się wsławił daleko, nietylko głęboką nauką i sprawiedliwością, ale i dobroczynnością względem biedniejszych braci. Stawiał im chaty, budował szkoły, w których się mogli na dzielnych wykształcić obywateli, osuszał jeziora, zamieniając nieurodzajną ziemię w orne pola, i dając tym sposobem potrzebującym możność zarobku. Często, chociaż niechętnie opuszczać musiał zacisze domowe, będąc wzywanym na dwory książąt, a nawet do Ojca św., gdzie niejedną sprawę wielkiej wagi podług jego rady rozstrzygnięto.

O Jakóbie Deli tymczasem słuch zaginął; nawet stryj jego nie miał żadnej od niego wiadomości.

Pewnego dnia, przybyła do Carpinetto jakaś kobieta, czarnym zasłonięta welonem, i zażądała chwili rozmowy z panią Lilią Pecci. Myśląc, że chodzi tu o wsparcie, Lilia, która za przykładem męża nikogo z niczem nie odprawiała, kazała wprowadzić ją do swego pokoju.

Gdy nowoprzybyła, wszedłszy, odrzuciła welon, Lilia ujrzała piękną twarz smagłą, o bystrych ognistych oczach, które się jej ciekawie przyglądały. Zdawała się nie słyszeć uprzejmych zapytań Lilii, gdyż nic na nie nieodpowiadała, aż wreszcie westchnąwszy głęboko i boleśnie, w te przemówiła słowa:

— Wiem już teraz jak wyglądasz, pani, dla miłości której on mnie kochać nie mógł; mnie, którabym życie za niego dała. — A gdy Lilia cofnęła się przerażona, sądząc że ma z obłąkaną do czynienia, kobieta mówiła dalej: — Nie obawiaj się niczego, zacna pani, ale posłuchaj raczej mego opowiadania: Jestem Helena Realo, córka tego mistrza, u którego wykształcił się Jaco Deli na znakomitego artystę. Zakochałam się w nim — a jednocześnie uczułam ku tobie głęboką nienawiść, bo przekonałam się, że wszystkie jego utwory, twojem są odbiciem. Gdy miał zacząć rzeźbić św. Agnieszkę, wówczas przyszła mi próżna i szalona myśl, aby prośbą i naleganiem skłonić go do obrania mię za wzór, sądziłam bowiem nierozumnie, że gdy moją twarz w marmurze uwieczni, wówczas już o tobie zapomni a mnie pokocha. Ale napróżno! Św. Agnieszka znów twoje miała rysy. Cały Rzym przyklasnął młodemu mistrzowi, we mnie atoli zazdrość wzięła górę, zapałałam gorącem pragnieniem zemsty, i w chwili, gdy uroczyście obchodzono zwycięztwo Jakóba, ja się zakradłam i zgruchotałam ową statuę, a z nią i sławę jej twórcy.

Jaco opuścił nas wkrótce. Po upływie roku widziałam go znowu, ale złamanego na duchu. Przyszedł do nas na chwilę i pożegnał się na zawsze. Niedawno zaś ojciec mój otrzymał od niego wiadomość, że wstępuje do klasztoru. Będzie tam dalej uprawiał swą sztukę, życie poświęcając Bogu. Ojciec mój teraz umarł, ja sama jedna zostałam na świecie, nic mię już jednak nie nęci, postanowiłam także wstąpić do klasztoru aby tam znaleść upragniony spokój; cieszę się jednak, że mogłam cię wpierw poznać; było to oddawna mojem pragnieniem. Bywaj zdrowa Lilio. —

Po tych słowach, nie dając się żadnemi prośbami skłonić do pozostania dłużej, spiesznie wyszła z pokoju.

VI.

— Wielką ci dzisiaj przynoszę nowinę, oto Jaco Deli powrócił!

Temi słowy powitał Antonio Pecci, pewnego jesiennego poranku roku 1577, ukochaną swą żonę. — Wuj jego doszedłszy prawie 80-ciu lat, zachorował śmiertelnie, i kazał go wezwać do siebie. Ale powiadają, że on sam bardzo słabym się być zdaje. Pójdę go dziś jeszcze odwiedzić. — I rzeczywiście, Jaco Deli nędznie bardzo wyglądał, przyznali to wszyscy, którzy widzieli go idącego chwiejnym krokiem za trumną zmarłego wuja. Przyznała to także Lilia, zobaczywszy go po raz pierwszy po tylu latach niewidzenia.

Kaptur mniszy osłaniał mu twarz śmiertelnie bladą, a z pod gęstych brwi, patrzały głęboko zapadłe oczy, o smętnem ale pogodnem wejrzeniu.

Antonio poznał, że chwile życia ukochanego ich przyjaciela są już policzone; chcąc mu je więc o ile możności uprzyjemnić, zapraszał go jak najczęściej do swego domu, gdzie przyjemne na każdym czyniła wrażenie, panująca tamże zgoda i jedność. A ponieważ osłabionemu mnichowi, coraz trudniej było przebywać trzymilową przestrzeń, dzielącą Alagno od Carpinetto, więc Antonio posyłał po niego zwykle swój powóz, a gdy przybył, zatrzymywał go często przez dni parę.

Wówczas znów siadywali wszyscy troje na ławce przed domem, obok murowanej studni, pod cieniem pięknego cyprysu. Jaco opowiadał zdarzenia z pobytu swego w Niemczech, opisywał dzieła tam wykonane, lub też uczył dzieci Lilii, z których Ludwik szczególniej lgnął całem sercem do niego.

Gdy po raz pierwszy dzieci zobaczył, zdumiał się podobieństwem małej Lilii do matki.

— Dwie lilie — powtarzał często — obie smukłe i niewinne, jak te kwiaty których noszą imię.

Często znów uczuwał wielką tęsknotę za swem mistrzowskiem dłutem. W jednej z chwil takich, obiecał Antoniemu, utworzyć jakąś ozdobę do jego domu, którąby była zarazem przypomnieniem lat młodzieńczych. Antonio prosił go wtedy, aby wyrzeźbił coś stósownego

na herb dla Peccich rodziny. Jaco wziął się z zapałem do roboty, i w krótce był już gotowy owal, na którym wyobrażony był cyprys, a po dwu jego stronach dwie lilie, jako uosobienie matki i córki. Dzieło to miało już być wkrótce ukończonem, gdy nagle niespodziewany zaszedł wypadek i przerwał robotę na czas dłuższy.

W pewien cichy wieczór jesienny, dał się słyszeć nagle przerażający okrzyk: »Gore.« W jednej chwili, prócz kilku innych domów, stanął i kościółek w płomieniach. Mieszkańcy w popłochu i trwodze uciekali, ratując co było można.

W tem dał się słyszeć głos bardziej od innych przerażający:

— Na miłość Boską, ratujcie mi dziecko, ratujcie moją Lilię, została w kościółku, zajęta ubieraniem ołtarza Bogarodzicy na jutrzejsze święto!

Wszyscy struchleli, ratunek zdawał się niemożliwym, bo kościółek groził lada chwila rozsypaniem w gruzy.

Ale Pan Bóg czuwający nad każdem stworzeniem, nieraz najniespodziewaniej zsyła mu pomoc. Tym razem zjawiła się ona w osobie Jakóba Deli, który jakby nadludzką jakąś siłą wsparty, nie namyślając się ani chwili, rzucił się śmiało ku palącym się już drzwiom kościoła.

Wszyscy wstrzymywali oddech, oczekując niecierpliwie wyniku tych śmiałych usiłowań. Wreszcie po długiej chwili, ukazał się Jaco, niosąc na ręku omdlałą dzieweczkę.

Odzież miała podartą, włosy opalone, a oczy przymglone, i w chwili gdy oddawał matce tę zdobycz, cudem prawie śmierci wydartą, sam z nadmiaru wysilenia, upadł bezprzytomny, pomiędzy płonące belki.

Ratunek był prędki; podniesiono go z ziemi i odwieziono do domku Peccich w Carpinetto, gdzie matka i córka dniem i nocą nad nim czuwały.

Po długiej i niebezpiecznej chorobie, począł Jaco żyć, ale nie miał już nigdy ujrzeć światła dziennego!

Boleśnie wzruszającym był widok tego człowieka, tak przedwcześnie schorzałego i osiwiałego.

— Dajcie mi wasz herb dokończyć — prosił Jaco dnia jednego, a gdy wszyscy z zadziwieniem spojrzeli na siebie, wahając się czy mu dać rylec i dłuto do ręki, on począł coraz natarczywiej nalegać, mówiąc:

— Czemuż mi nie dajecie? Wszak i tak już mam bardzo mało czasu do roboty, niech przynajmniej dzieła dokończę. — Gdy mu wreszcie podano żądane narzędzia, począł rzeźbić jak dawniej, śmiałą i pewną ręką. Że jednak nie lubił, gdy się ktoś jego robocie przypatrywał, i zawsze ją starannie przykrywał, zostawiono go więc codziennie samym na parę godzin.

Nadszedł wreszcie dzień św. Cecylii. Było to w Listopadzie, mimo że czas był piękny i łagodny, Jaco, dnia tego widocznie czuł się słabszym i przyjął ostatnie Sakramenta św. Posilony na duszy, leżąc pośród swych przyjaciół, zażądał, aby mu podano ostatnią jego pracę, a odsunąwszy drżącemi rękoma zasłonę, podał Antoniemu wykończoną już tarczę herbową.

— Dwie lilie i cyprys — wszak wiecie co to oznacza — szeptał gdy Lilia i Antonio pochylili się nad nim.

— Tak, ale cóż przedstawia ta gwiazda promienna u góry? — zapytał Antonio zdziwiony.

— To jest cudowna gwiazda — rzekł chory tajemniczo.

Jaco począł mówić proroczym głosem, a dziwna światłość rozjaśniła mu oblicze:

— Wy widzicie tylko ziemskie rzeczy, ale moje oczy, chociaż na pozór zamknięte, jasnością Bożą oświecone, widzą przyszłość. Otóż wiedźcie, że wkrótce zejdzie na niebie owa gwiazda i wszyscy ją podziwiać będą: ale będzie ona tylko słabym obrazem onej gwiazdy cudownej, która wejdzie kiedyś z rodu Peccich.

Bywajcie zdrowi, umieram spokojny i szczęśliwy, gdyż dane mi było oglą-

dać oczyma duszy tę gwiazdę, której blask w przyszłości światu całemu przyświecać będzie.

Westchnął i skończył....

Lilia i Antonio klęczeli świątobliwą przejęci trwogą, u łoża zmarłego wieszcza, a dzieci tuliły się do swego przyjaciela.

Twarz jego rozjaśniła się, nie był już ciemnym, gdyż oczy jego oglądały światłość wiekuistą.

Rzeczywiście, wkrótce potem ukazała się na niebie, owa gwiazda, świecąca jaśniej od innych, a za dni naszych dopiero, weszła owa druga przepowiedziana gwiazda, której jasność przyświeca całemu światu chrześciańskiemu, a imię jej Leon XIII.

ŚWIATŁO POLARNE CZYLI ZORZA PÓŁNOCNA.

Prąd magnetyczny idzie w północno-południowym kierunku, czyli od bieguna ku równikowi i napowrót; właśnie ta okoliczność przyczynia się do wyjaśnienia bardzo ciekawego zjawiska, pokazującego się w okolicach północnego i południowego bieguna. Jest to światło biegunowe lub polarne, czyli właściwie zorza północna i południowa. Że siła magnetyczna ziemi jest właściwym powodem tego zjawiska, z dwóch własności światła polarnego wypływa, mianowicie: że wahanie igły magnesowej przy zjawisku zorzy północnej jest daleko prędsze, również że punkt, około którego światło biegunowe się rozszerza, właśnie na biegun magnetyczny przypada. Zjawisko to zdarza się, jak już powiedziano, tylko w okolicach biegunowych, nie idzie za tem, aby w niższych geograficznych szerokościach widzianem nie było. Zorzę północną w całej swej okazałości widzieć można na półwyspie Skandynawskim, która wedle upewnień podróżnych, w Europie widziana, daleko piękniejsze i wspanialsze widowisko przedstawia, niż światło polarne w Ameryce, którego mdłe światło bez jaskrawości i gry kolorów mniejsze wrażenie sprawia. Światło polarne okazuje wielką rozmaitość; najczęściej wznosi się na widnokręgu jasne półkole, które zakreśla jakby kabłąk ciemnego koloru do obłoku podobny. Jasna krawędź półkoła zwiększa się na zewnątrz coraz więcej i rozdziela się nakoniec w piękną koronę promienistą, której smugi w kształcie strzał piorunu wylatują aż do czubka; u góry się dzielą, raz dłuższą, drugi raz krótszą postać przybierając i wiją się jakby płomienie, które wiatr unosi. Przy ustawicznem migotaniu się i pałaniu światła, w czem najczęściej całe półkole udział bierze, promienie zmieniają ciągle swe żywe kolory, raz na czerwony, raz na zielony, biały itd. Czasem przybiera całe niebo północne kolor purpurowy, tworząc niejako zasłonę wspaniałego widowiska, które patrzącego nieraz i strachem przejmuje. Pierwej utrzymywano, że światło północne ze siebie łoskot wydaje podobny, jaki pochodzi ze skrzypienia lub szurowania, co właśnie naprowadzało na wniosek, że przyczyną powodującą to zjawisko, jest elektryczność, ale w nowszych czasach mocno o tem powątpiewano; łoskot dający się słyszeć — utrzymują badacze — pochodzi z trzeszczenia brył lodu. Zjawiska te zdarzają się częściej w zimie jak w lecie, szczególniej najczęściej następują w miesiącach pór przejściowych między zimą i latem, na wiosnę i w jesieni.

Argelander, jeden z znakomitych badaczów natury, który podczas długoletniego pobytu swego w Abo, wiele świateł biegunowych obserwował, podał nam dokładne opisanie zorzy północnej, ale również piękny obraz tego zjawiska w Syberyi zauważanego nakreślił nam jenerał Kopeć w swych pamiętnikach.

Powiada on: »Noc w porze zimowej, jak dzień w porze letniej, trwa tu prawie ciągle; noc ta jest długą, smętną, ale okazałą, niekiedy czarującą, gdy ją oświeci zorza północna; granatowe niebo iskrzy się milionami gwiazd, ale one nie ogrzewają, ani oświecają, lecz podobne do błyszczących oczu nadpowietrznych duchów, spoglądają z nieba z wyrazem żalu i politowania na tę smutną ziemię. I czyli to czasem nie wpływem migania tych nadpowietrznych świateł wybuchnął w całej rozciągłości północy płomień niebieski, jakiego nigdy ręka ludzka nie wznieciła, podobny kolorem do tych promieni, w jakie wyobrażenie nasze stroi duchy niebieskie, — delikatny, przezroczysty, jak cień się jawiący! Nie masz dla niego na tej ziemi ani nazwiska, ani porównania; nie ma bowiem tej jaskrawości słonecznej, ćmiącej oczy nasze; przypatrując się niebu, małe można o nim dać wyobrażenie, porównując go do drogi mlecznej. Z tego zorzowego światła w mgnieniu oka wzniosły się aż pod zenit białe promieniste słupy i rozpoczęły między sobą czy walkę, czy też dziwnej rozmaitości grę biegającą, może tylko zrozumianą przez duchy, mieszkańce nadpowietrzne. Słupy te posuwały się z niepojętą dla śmiertelnika szybkością; zdawało się, że cisną się jedne na drugie, obalają się nawzajem, jednak bez uszkodzenia i nie przerywając bynajmniej swego niebieskiego ciała; że przenikają jedne przez drugie, że w mgnieniu oka nowe ich tłumy tworzą się, istnieją chwilę, znikają znowu, nigdy widokręgu nie zostawując bez swego niepojętego światła. Wnet znowu pokazały się nowe, dziwaczniejsze jeszcze zjawiska, jakby uniesione gniewem i krwawą zemstą: pustynia cała dotychczas blada, nagle powlekła się ognistą łuną.



Światło polarne czyli zorza północna. (Obacz artykuł na str. 100.)

Zjawiska te podobne do niezwyczajnego rozmiaru walców ciemno-purpurowych, z równą szybkością przebiegając jak poprzednie słupy, podobnie wznosząc się, tworząc i znikając, w podobny obłęd jak pierwsze wprowadzają natężoną uwagę badacza. Czemby były

i coby te nadzwyczajne, dziwne i czarodziejskie zjawiska znaczyły, nikt dotąd nie wytłómaczył; równie niedowiarek jak mędrzec od dawna mozolą się nad ich objaśnieniem. Zabobonny Tunguz mniema, że to są duchy walczące pomiędzy sobą i wstępnym bojem załatwiające swe nieporozumienia i spory.

ALLELUJA!

Tam, ponad miastem, na górze Golgoty,
Po długich mękach Pan nieba i ziemi,
Chcąc świat wybawić z grzechu i ciemnoty,
Zawisł na krzyżu. Zbawca między temi,
Dla których zstąpił z niebios Boga Ojca.
On, który licząc ludzkich zbrodni wieki,
Krwią własną płakał wpośród drzew Ogrojca,
Na krzyżu zamknął zbolałe powieki.

* * *

Do grobu pańskie złożono ciało,
Pokryte raną od gwoździ, cierni;
Z płaczem do domu odeszli wierni,
A trzech żołnierzy na straży stało.

* * *

Lecz dnia trzeciego wśród ciemnej nocy,
Gdy ziemię okrył całun żałoby,
Nagle rozwarły się Boże groby,
A Chrystus powstał w chwale i mocy!

* * *

Więc sławę Bożą głoszą niebiosy,
»Z martwych nam powstał Bóg nieśmiertelny«
Hymnem tryumfu brzmią ludzkie głosy
I Alleluja! cały świat pełny.

* * *

O Wielki Boże! któryś na tę ziemię
Zstąpił, by cierpieć Ogrójec, Golgotę,
Racz rzucić okiem na dzisiejsze plemię,
Rozjaśniej grzesznych serc naszych ciemnotę.

* * *

Naucz nas cierpieć bez szemrań i skargi,
Przebaczać wrogom w imię twojej męki,
Zsyłaj nam imię Maryi na wargi,
Niechaj rozwieje zwątpień naszych jęki.

* * *

Naucz nas dążyć, chociaż bolą ciernie,
Wspieraj Twą łaską, wszakżeś przyrzekł, Panie!
Że jeśli z Tobą cierpieć będę wiernie,
Rozkujesz więzy i dasz Zmartwychwstanie.

O zwyczajach i obyczajach Dolno-Łużyczan i o ich siedzibach.

(Początek obacz Nr. 3 »Światła«.)

Domyślić się łatwo, że z powodu niskiego położenia Dolnych Łużyc i z powodu wielkiej obfitości w nich wody ziemia tamtejsza mało stósunkowo się nadaje pod pług, bo regularnie się powtarzające wylewy do zbytku rozgałęzionej Sprewy, szkodziłyby polu, podczas gdy dla łąk są pożądane, to też łąki przeważnie wieśniakom w sprewskim Lesie utrzymanie i dochody zapewniają; jest ich zaś w Górnym Lesie 50,000 mórg, obok 27,000 mórg starego boru i 6,000 mórg roli. Podobny stósunek ma i w Dolnym Lesie miejsce. Główną pracą Dolnych Łużyczan jest więc sianożęcie i sianozbiór.

Najemnych kośników i żniwiarzy właściwie Łużyczanie nie znają. Gospodarze tamtejsi odbywają kolejno żniwa z pomocą ochotniczego zastępu wyrostków i dziewczyn. Rano przybywają kośnicy-goście nie na pole, ale najpierw do zagrody gospodarza, sprzątać mającego i zasiadają do porządnie nakrytego stołu, by spożyć śniadanie, składające

się z chleba z masłem, sera, piwa lub wódki; w dodatku jest jeszcze kawa.

Uwinąwszy się duchem ze śniadaniem, kośnicy wychodzą ochoczo na pole lub na łąkę; miejsca po nich u stołu zajmują odbieraczki, by się także posilić i za kośnikami pospieszyć. Po trzygodzinnej pracy, drugie śniadanie, lecz na polu, poczem dalsze krzątanie się około żniwa. W południe powraca wesoły zastęp żniwiarzy do wsi, by ponownie zasiąść u suto zastawionego stołu gospodarza: nie brak tu mięsa, napitku, jest świeży chleb, ba, nawet kołaczy napiekła wczoraj gosposia.

Po obiedzie, przy którym było gwarno, ochoczo, wesoło, ustawiają się żniwiarze porządkiem: na czele w białych katankach z wiankami u kapeluszów kośnicy, za nimi dziewczęta w bieluchnych koszulkach, czerwonych spódniczkach i dalej wśród pustoty do dalszej roboty na pole spieszą. Często im przygrywa jeden z chłopców na harmonice. W podobny sposób powracają wieczorem od pracy. Żniwowa robota staje się tu pasmem wesołych pochodów, biesiad, serdecznych pogawędek, na które się młodzież już poprzednio całemi tygodniami cieszy, a im piękniejsze urodzaje i ładniejsza pogoda, tem większa radość i rączość przy pracy.

Gospodarstwo łączne pociąga tu za sobą — jak naturalna — chów bydła. Największy ztąd rozgłos mają gospodarze w Ledzie (Lehde), od dawien dawna bardzo umiejętnie około rogacizny chodzący.

Kolej żelazna od niedawna Lasu Sprewskiego dotykająca, uczyniła z naszych Łużyczan rzecby można — przedmieszczan Berlina. To też masło, sery i ogrodowizny łużyckie poszły w górę, a producenci i handlarze ogórków z Lubienowa wielkiej nabrali w stolicy pruskiej wziętości. Pierwsze przecież miejsce, jako artykuł handlu łużyckiego, trzyma siano; po niem idzie zbyt bydła i wyrobów z mleka.

Siano przechowują tu w stogach, na podstawach stojących, aby w razie wzrostu i wylewu wody nie ucierpiało. Do stodół zwożą tylko zboże.

Budynki wznoszą Dolnołużyczanie z twardego, długi czas poprzednio w wodzie moczonego drzewa. Ojciec wrzuca dębowe, bukowe lub wiązowe kłody dla dzieci do kanałów i przechowuje je tam przez lat dziesiątki, żeby zbrunatniały i nabrały hartu. Najwspanialsze wiązowe lasy są pod Lubienowem i w okolicy Tszupc.

Flora Dolnołużycka nadzwyczajną odznacza się bujnością roślin wodnych, błotnych, łąkowych i leśnych. Dawnemi czasy było tu bardzo wiele zwierzyny; po sto sztuk jeleni wychodziło na podlesia, niszcząc nadzieje i pracę rólnika. Dziś tak źle już nie jest, bo i lasy rzadsze, kolej żelazna bisko, mieszkaniec na nowinach częstszy. Nawet dzikich gęsi i kaczek mniej tu teraz, niż dawniej bywało, mniej cietrzewi i głuszców, a żorawie to zupełnie nizinę dolno-łużycką porzuciły. Za to moc tu jeszcze bocianów, czapli, bąków, łysek, czajek i słonek i życia ztąd niemało. Po ogrodach nie brak też lotnych śpiewaków, nie brak ich i w lesie.

Ongi słynął Las Sprewski z bogactwa ryb, ale nieroztropne bobrowanie po wodach łużyckich w właściwe i niewłaściwe czasy dało się dotkliwie w odnośnym względzie we znaki. Przecież zawsze jeszcze w samym Lubieniowie 200 centnarów ryb rocznie poławiają.

Nie trudno sobie wyobrazić, jak niedostępnym musiał być ongi Las Sprewski, t. j. wtenczas, nim siła i potrzeba ludzka poszła z nim w zapasy, albo wtenczas, gdy się rozpoczęła namiętna walka tutejszych Słowian z najazdem germańskim.

I teraz jeszcze staczają łużyccy Słowianie walkę z przemożnym wpływem obcym, a sprawdzać się tu zdają na tej drobnej walczącej garstce słowa poety:

... dla wiary i dla ducha
W ziemi dziadów śmierci nie ma,
Choć rwie wieków zawierucha,
Dom się w węgłach swoich trzyma.

I dostoi i przestoi
Wszystkie burze, wszystkie złości:
Bo krew dziadów we krwi twojej!
A kość żyje w twojej kości!

Oby przetrwały wszystkie burze!

Żyją więc Dolno-Łużyczanie serbscy w ustroniach swych, życiem odrębnem, na siebie głównie wskazani; wystarczają sami sobie — to ich jedyny ratunek, bo nie tracą swej odrębności, swych cech i właściwości szczepowych, co jednakże nie ochroni, że kto z nich powołaniem albo innemi okolicznościami pozostawały z ciągiem czasu mniejsze zagrody i gospodarstwa.

Prześliczne łąki i bliski las nie mógł im nie nastręczać myśli hodowania pszczół, które zresztą w wypróchniałych drzewach starego boru dziko żyły,

Mieszkańcy Lasu Sprewskiego odznaczają się silną budową ciała. Praca na wodzie, w lesie i na łąkach służy im bardzo i hartuje ich. Są oni zwykle dobrej myśli, i gwarno, wesoło pomiędzy nimi, ale niestety! nie unikają gorzałki, co się wcale nie korzystnie — a



Uniwersytet w Dorpacie. (Obacz obj. rycin na str. 112.)

spowodowany, rozstaje się na dłuższy czas z domem, z swą ziemią ojczystą, — tonie w obcym pierwiastku, gdyż tylko

»W ziemi dziadów śmierci nie ma!«

Pierwotni Łużyczanie Dolni byli niezawodnie rybakami i z rybołówstwa żyli a dopiero wtenczas zaczęli coraz więcej ziemi uprawiać i chowem bydła się trudnić, gdy prawo połowu ryb przy większych tylko posiadłościach ziemskich się utrzymało, w skutek czego nie może być inaczej — daje we znaki.

Zagrody tych wodnych Łużyczan i pomieszkania ich są dostatnie, uderzającą nacechowane schludnością. Budują oni je sobie z drzewa starym zwyczajem: kłoda na kłodę w ryglówkę na podmurowanie. Wewnątrz wybite są ściany deskami, zewnątrz obrzucone gliną, w którą poprzednio potarganą słomę wdeptano.

Dom przedziela sień. Po jednej i po drugiej stronie sieni obszerna izba; w jednej mieszkają, w drugiej śpią. W sy-



Och! powieją ciepłe wiatry
Podgórską doliną;
Strząsną śniegi dumne Tatry
I wody popłyną;
Rozbrzmieją piosnką miłośną
Pola, łąki, knieje…
Co za radość będzie z wiosną,
Aż się dusza śmieje!

Będąż krajać skiby czarne
Urodzajne role;
I przeminą troski marne,
Głody i niedole;
W zielone listki porosną
Serdeczne nadzieje…
Co za radość będzie z wiosną,
Aż się dusza śmieje!

WIOSNA.

pialni w jednym rogu rodzaj kotary (zasłona łożka z trzech stron) z barwistej materyi. Nad piecem śragany do suszenia przyodziewku, gdy zmoknie, bielizny i sieci. Najważniejszym sprzętem w izbie mieszkalnej jest stół starodawnego kształtu, z 16-go stulecia. Jest to na dwóch podporach, dwa krzyże stanowiących, spoczywająca płyta. Na dole do podpór przybite po każdej długiej stronie wąskie podnóżki. Przed i za stołem ława. Domy pokryte są słomą.

(Dokończenie nastąpi.)

SIEDM CUDÓW ŚWIATA STAROŻYTNEGO.

Często się słyszy lub czyta o 7 cudach świata starożytnego. Kto się uczył w wyższych szkołach, ten wie, jakie to były cuda starożytnego świata, albowiem dowiedział się o nich z historyi powszechnej, mitologii lub historyi sztuki. Inaczej jest z tym, który w szkołach wyższych nie był. Niejeden przeto z chęcią się dowie niecoś o tych cudach.

Za siedm cudów świata uważali w starożytności: pyramidy egipskie, wiszące ogrody Semiramidy w Babilonie, świątynię Dyany w Efezie, posąg Jowisza, wykonany przez Fidiasza, mauzoleum (grobowiec) w Halikarnasie, kolos rodyjski i latarnią morską w Aleksandryi.

1. **Piramidy egipskie** są to olbrzymie pomniki, zbudowane z bardzo wielkich głazów kamiennych w taki sposób jeden na drugi kładzionych, że u dołu są kwadratowe a ku górze się zwężają w śpiczasty szczyt, zaś wszystkie ich ściany tworzą trójkąty. To są groby krolów Faraonów egipskich. Do dziś jeszcze stoją, jedne dobrze zachowane, inne nadpsute i porysane, blisko pustyni Libijskiej na zachód od rzeki Nilu, tworząc rząd na 60 kilometrów długi. Pierwsze z nich stoją przy Abu Roasz, naprzeciwko miasta Kairu, ostatni przy miejscowości Fayum. Najsławniejsze piramidy egipskie są trzy: pierwsza wzniesiona przez króla Cheopsa, 408 łokci szeroka w podstawie a 261 łokci wysoka; druga króla Chephrena, szeroka 376 łokci, wysoka 233 łokci; trzecia króla Mycerina, szeroka 287, wysoka 95 łokci. Jak przypuszczają, wzniesione zostały między rokiem 3500 a 2100 przed Chrystusem. Zwyczaj budowania królom piramid istniał w starem państwie egipskiem do 2000 roku przed Chrystusem. Prawie wszystkie są z kamienia, niektóre z czarnej cegły nilowej. Groby królów znajdują się zazwyczaj pod ziemią; wyjątkowo tylko trafiają się groby we wnętrzu samej budowy. Wejście do grobu było zawalone olbrzymim kamieniem, tak sztucznie między drugie kamienie wprawionym, że trudno było otwór odkryć. W grobach leżały zwłoki królewskie zabalsamowane tak dobrze, że długie wieki przetrwały. Dziś są te groby prawie wszystkie puste, albowiem Arabowie doszukali się wejścia i złupili kosztowności. Niektóre zwłoki zabalsamowane (mumie) odkryli też uczeni i umieścili w muzeach (zbiorach starożytności).

2. **Wiszące ogrody Semiramidy w Babilonie.** Babilonia jestto kraj nad dolną częścią rzeki Eufratu w Azyi. Mieszkańcy tego kraju odznaczali się bystrością rozumu i przedsiębiorczością. Przemysł i handel kwitły tu jak najświetniej. Szczególnie zaś zasłynęli z tego powodu, że wspaniałe dzieła budownicze wykonywali. Do dziś jeszcze podziwiać można ruiny (szczątki) olbrzymich gmachów, kanałów, mostów, grobli i śluz. Ponieważ przez kraj ich przepływała wielka rzeka Eufrat, która często wylewała się z brzegów i szkody sprawiała, przeto z potrzeby zabezpieczali się przed niemi, wznosząc nad brzegami rzeki ogromne groble, nadzwy-

czaj mocno zbudowane. Stolicą kraju było miasto Babilon, samo z siebie już słusznie za cud świata uważane. Leżało ono po obu brzegach Eufratu a miało kształt czworoboku, którego każda ściana 12 mil długą była. W około miasta ciągnęły się mury 100 łokci wysokie a 50 szerokie; na nich mogło kilka wozów przy sobie jechać wygodnie, nie zawadzając sobie wzajem. W murach było 100 bram spiżowych, a do każdej z nich prowadziła prosta i szeroka ulica. W zachodniej części miasta poza murami wznosiło się niezależne od Babilonu miasto Borsippa, a w niem ośmiopiętrowa wieża, zbudowana przez króla Nebukadnezara i to na miejscu wieży języków (Babel). W północnej części leżało miasto królewskie, 3 murami opasane. Tam naprzeciwko najstarożytniejszego pałacu królewskiego były wiszące ogrody. Podług opisów czerpanych ze starożytnych pisarzy miały się te ogrody opierać na kolumnach (słupach) kamiennych; na nich było ułożone wiązanie belek z drzew palmowych, pokryte grubą warstwą ziemi urodzajnej, w której rosły wszelkiego rodzaju drzewa, owoce i warzywa. Ponieważ założycielką Babilonu i tych ogrodów miała być królowa Semiramida, ztąd nazwa ogrodów wiszących Semiramidy. Tu wznosiła się także wielka piramida, święte miejsce wyroczni, grób bożka Belusa (Baala), którego za pierwszego fundatora Babilonu uważali. Dopóki Babilonia była wolna, miasto się ciągle upiększało. Gdy królowie perscy Babilon zdobyli, zaczęło podupadać i popadło w ruiny, które do dziś jeszcze dają świadectwo jak wspaniałe dzieła umieli ludzie w starożytności budować.

3. **Świątynia Dyany w Efezie.** Miasto Efez leżało w prowincyi Jonii (w Azyi mniejszej). Było za dawnych czasów środkowym punktem handlu dla Azyi zachodniej. W niem wznosiła się świątynia bogini Dyany, którą w roku 620 przed Chr. budować zaczęto a 540 roku dopiero ukończono. Była to wspaniała budowa; 128 słupów, wysokich 18 metrów, podtrzymywały gmach. Najsławniejsi budowniczy i sztukmistrze wysadzali się na to, aby upiększyć ją tak, jak każdy w swoim zawodzie najlepiej potrafił. Roku 356 przed Chrystusem żył tam pewien obywatel, nazwiskiem Herostrat, który pragnął się stać koniecznie sławnym. Nie mając rozumu ani dzielności po temu, aby przez nie sławy się dorobić, postanowił po łotrowsku i zbrodniczym sposobem sławy nabyć. Pewnego dnia podpalił ową świątynię a gdy go sędziowie pytali, dla czego to uczynił, odrzekł, iż tylko dla tego, aby imię jego stało się sławne. I dopiął swego, albowiem chociaż Efezyanie postanowili miana jego nie rozgłaszać, kronikarz pewien zapisał je jednak w swoich księgach i dziś jeszcze po tylu wiekach znane jest imię Herostrata jako podpalacza i człowieka cierpiącego na chorobę wielkości. Świątynię odbudowano później jeszcze wspanialej, i przez długie wieki pyszniło się nią miasto i miało zysk, albowiem od czasu do czasu urządzano w pobliżu świątyni zabawy ludowe, na które dużo ludzi się schodziło. Świątynia stała do roku 220 po Chrystusie. Przed tym czasem cesarz Neron zdobył miasto i złupił świątynię z kosztowności, a w roku 220 naród Gotów spalił ją poraz drugi; już jej nie odbudowano.

4. **Posąg Jowisza, wykonany przez rzeźbiarza Fidiasza.** Fidiasz, Ateńczyk, najznakomitszy rzeźbiarz grecki urodził się około r. 500 a zmarł 432 roku przed Chrystusem. Żył on w czasach najświetniejszych Grecyi, gdzie naród grecki stał u szczytu swojej potęgi. Wtedy też kwitły sztuki. Fidiasz wyćwiczył się nadzwyczajnie w rzeźbiarstwie i przedewszystkiem umiał wykonywać posągi ze złota i słoniowej kości. Na zamku w Atenach ustawiono posąg bogini Palady, wykonany przez niego, 26 łokci greckich wysoki. Głowa, ręce i nogi tego posągu były ze słoniowej kości; szaty ze złota. Cały pomnik miał wartości 786 tysięcy tal. Najsławniejszem i najdoskonalszem jego dziełem był posąg Jowisza, najwyższego bożka greckiego, ustawiony w świątyni olim-

pijskiej. I ten posąg był ze złota i słoniowej kości. Jowisz był przedstawiony jako starzec, siedzący na tronie. Głową sięgał prawie posowy świątyni, przeszło 17 metrów wysokiej. Wartość jego zapłacili Fidiaszowi za zasługi, albowiem najpierw wygnali go z ojczyzny, co było największą karą, a gdy znów powrócił, wtrącili go do więzienia, gdzie z choroby, — a jak inni piszą skutkiem



Domy 12 i 14-piętrowe w Chicago. (Obacz obj. rycin na str. 112.)

była jeszcze większa, niż wartość posągu Palady. Prócz tych, wykonał Fidiasz jeszcze wiele innych znakomitych i misternych prac rzeźbiarskich, które do dziś w szczątkach, w jakich się dochowały, wzbudzają podziw. Ateńczycy źle trucizny zadanej, umarł.

5. **Mauzoleum w Halikarnasie.** Halikarnas było to miasto w Azyi Mniejszej, które miało z początku własnych książąt, a później było stolicą królów Karyi. Najsławniejszym z tych królów

był Mausolus, któremu gdy w roku 353 umarł, wystawiła siostra Artemizya wspaniały grobowiec, nazwany od jego miana mauzoleum czyli grobowiec Mausolusa. Była to wspaniała budowa, pełna kosztownych posągów i sprzętów drogich a misternie wyrabianych. Dopiero przed 40 laty zdołano odkryć ten grobowiec; wszystko, co się w nim znajdowało, przewieziono do muzeum angielskiego w Londynie.

6. **Kolos rodyjski.** Na morzu Śródziemnem, o 2 mile od południowo-zachodnich brzegów Azyi Mniejszej leży wyspa Rodus, 26 mil kwadratowych obejmująca. Dawnymi czasy tworzyła ona republikę samodzielną i potężną, która znaczną liczbę okrętów posiadała. Handel morski i stósunki żeglugi musiały tam być w wielkim porządku, skoro prawo morskie rodyjskie uważane było na wszystkich morzach jako podstawa prawa narodów i do dziś jeszcze przy sądzeniu spraw morskich niejednokrotnie na nie się powołują.

Rodyjczycy, mając skarby wielkie, postanowili zbudować jakie nadzwyczajne dzieło, któreby ich wsławiło przed światem i dokonali swego zamiaru. Wystawili posąg spiżowy na cześć bożkowi słońca nad morzem w tem miejscu, gdzie wszystkie okręty zawijały do portu. Był to posąg bardzo wielki, kolosalny; miał 70 łokci wysokości. Wyrobił go sztukmistrz, nazwiskiem Chares około 278 r. przed Chr. Koszta wybudowania wynosiły 300 talentów czyli 1 mil. 413 tys. m. Niektórzy głoszą, iż ten kolos postawiony był na dwóch podstawach u wstępu do portu a nogi miał tak rozkroczone, że pod nim przejeżdżały okręty. Lecz już w roku 222 przed Chrystusem skruszony został przez trzęsienie ziemi. Podobno go na nowo wzniesiono, lecz to wiadomość niepewna. Że jednak stał kiedyś i że to był prawdziwie kolosalny posąg, wynika z tego, że w r. 672 po Chrystusie sprzedali Sarazeni resztki posągu pewnemu żydowi, a było tego jeszcze tyle, iż żyd 900 wielbłądów niemi obładował przy przewozie.

7. **Latarnia morska w Aleksandryi.** Aleksandrya, za dawnych czasów stolica Egiptu, założona przez Aleksandra Wielkiego roku 332 przed Chrystusem, stała się wnet środkowym punktem handlu starożytnego świata i słynęła z różnych szkół i dzieł wielkich. W najświetniejszych czasach liczyła przeszło 600 tysięcy mieszkańców. Leży blisko morza, a tuż przed nią znajduje się wyspa, zwana Pharos. Tę wyspę połączono bardzo mocnym, 1290 metrów długim wałem ze stałym lądem. Na zachodnich kończynach owej wyspy, zbudowano w trzecim wieku przed Chrystusem latarnię morską. Budowniczy zwał się Sostratos. Nie była owa latarnia podobna do dzisiejszych latarni, które wyglądają wysmukłe, jak słupy, lecz był to gmach wielki, w kształcie obszernej wieży budowany, 130 metrów wysoki, z ośmiu piętrami. Na każdem piętrze w około gmachu znajdowały się galerye, podtrzymywane pięknymi słupami z marmuru. Na najwyższem piętrze znajdowała się latarnia a była tak sztucznie urządzona, że skoro ją zapalili, nadzwyczaj jasne światło biło z niej na morze i oświecało powierzchnię morza na oddal 50 do 60 kilometrów (prawie 8 mil). Dla okrętów było to zwłaszcza w owych czasach rzeczą wielkiej wagi, (jak i dziś jeszcze niejednokrotnie bywa), aby widziały, kędy jechać bezpiecznie i nie skierować okrętu na podwodne skały lub mieliznę. Jak obszerna to musiała być budowa, łatwo się i z tego dorozumieć, że ją później na meczet (turecką świątynię) i pałac zamieniono.

W Aleksandryi znajdowały się jeszcze inne wspaniałe dzieła n. p. kolumna Pompejusza albo Dyoklecyana, wycięta z jednej sztuki różowego granitu 101 stóp wysoka, dalej dwa obeliski (słupy) kleopatry także z różowego granitu, z których jeden do dziś jeszcze stoi.

Oto jest krótki opis dzieł ręki ludzkiej, które w starożytności nazywano siedmiu cudami świata. Niejeden powie może, że dziś jeszcze wspanialsze dzieła budują. Prawdą, lecz należy pamiętać, że dziś przy każdej większej rzeczy uży-

wają maszyn, parą pędzonych, — a tamte dzieła bez pomocy udoskonalonych maszyn i siły pary, rękami ludzkiemi wzniesione zostały. Gdy się na to zważy, to słusznie trzeba podziwiać tych, co takie dzieła wykonali.

CZEM KTO WOJUJE, OD TEGO ZGINIE.

Prawdziwe zdarzenie z czasów komuny paryzkiej.*)

W r. 1871 mieszkała w pobliżu placu di Szatodo w Paryżu młoda wdowa po urzędniku z jedynem dzieckiem, 7-letnią Matyldą. W ciężkim smutku, w jakim wdowa Etien od śmierci męża pozostawała, była córeczka jedyną jej pociechą. Rozkoszne to dziecko wyglądało, jak aniołek; twarzyczkę piękną okalały mu złotawe włoski, spadające w puklach na ramiona; w jasnych oczętach widniała niewinność i pogoda, jak pogodnemi bywają niebiosa.

Matka była w dziecku rozkochana, bo któraż matka dziecka swego nie kocha całą siłą serca? Pani Etien nie miała męża, nie miała bliskich krewnych, przeto całą miłość przelewała na dziecko. Obie żyły w spokoju i szczęśliwie, o ile sieroty w ogóle szczęśliwe być mogą.

Gdy w Paryżu wybuchła komuna, ów straszny i okropny czas, wtedy pani Etien w ciągłym pozostawała strachu, drząc nie tak o siebie, jak o Matyldę. Jak na nieszczęście komuniści wybrali sobie ulice, w pobliżu mieszkania pani Etien leżące, do ustawienia barykad. Tam bili się co chwila a kulę wpadały przez okna do domów. Wdowa wcale prawie nie sypiała, czuwając nad dzieckiem.

Pewnego rana, gdy Matylda już wstała i nie znając okropnego położenia, bawiła się w pokoju, matka znużona czuwaniem, zasnęła w krześle, na którem siedziała. Dziecko spostrzegłszy, że matka śpi, wyszło po palcach do drugiego pokoju; tam otworzyło drzwi, prowadzące na balkon i stanęło na nim. W rączce trzymała na nitce kulę lekką, wewnątrz pustą, która w powietrzu bujała. Dziecku się to podobało, przeto drepciło sobie po balkonie, tam i sam chodząc.

Wtem przechodzi po drugiej stronie ulicy pewien człowiek i spostrzega dziecko na balkonie. Przystanął i patrzy. Widok tego miłego dziecka powinien — zdało się — wywrzeć na każdym człowieku wrażenie i każde serce rozczulić. Lecz ów człowiek, to jeden z komunistów; patrzy gniewnemi oczami na dziecko i widzi w niem członka klasy zamożniejszej ludzi, przeciw której walczy.

Pióro się wzdryga, aby opisać, co się dalej stało. Ów komunista schyla się i podjąwszy wielki kamień z porozrywanego do budowy barykad bruku, rzuca go z wielkim zamachem na dziecko. Biedna dziecina, ugodzona w główkę, pada krwią zbroczona na podłogę balkonu. Oprawcy jeszcze nie dosyć; przybliża się i rzuca na trupa jeszcze jeden kamień i idzie swoją drogą.

Sąsiedzi usłyszawszy krzyk dziecka, zbiegają się, płaczą i biadają. Ich żale budzą matkę ze snu; zrywa się i ogląda w koło. Widzi drzwi otwarte na balkon, słyszy płacz i narzekanie, krew ścina jej się w żyłach, chce biedz i nie może, a już też wnoszą do izbę jej Matyldę, jej pociechę i rozkosz, krwią zbroczoną i martwą. Matka wydaje okrzyk serce rozdzierający i upada bez zmysłów na ziemię...

Pani Etien była dobrą chrześcianką i za pomocą Boską zwyciężyła okropny

*) 18-go Marca 1871 wybuchła komuna w Paryżu, czas zbrodni wszelakich, w którym część mieszkańców paryskich stała się podobną zwierzętom. Socyaliści wychwalają tych oprawców jako bohaterów i sławią komunę, głosząc, iż to był czas pięknej wolności i szlachetnych czynów. Ażeby pokazać, jakie to »bohaterskie« czyny były, podajemy niniejsze zdarzenie prawdziwe; kto je przeczyta, pozna łatwo nieprawdę słów socyalistów.

ból. Serce jej oburza się na zbrodniarza, który jej jedyne dziecko zabił, — lecz pamięć o męce Zbawiciela i mękach Matki Boskiej pod krzyżem stojącej goi, jak balsam ranę jej serca. Sama się dziwi, że cios ten przeżyła, że rozpacz jej nie zabiła. Bóg nie opuszcza tych, którzy w Nim ufność swoję pokładają i nagradza pobożność i cnotę. Od tego czasu p. Etien poświęciła się całkiem uczynkom miłosierdzia i jednę nadzieję żywi tylko w sercu a mianowicie, że się kiedyś z dzieckiem swem w Niebie połączy.

* * *

Minął straszliwy czas komuny i porządek znów nastał w Paryżu. P. Etien wyprowadziła się z dotychczasowego pomieszkania a najęła sobie inne. Podczas lata wyjechała z Paryża na wieś do znajomych i dopiero znów pod zimę wróciła.

Gdy przymrozki nastały i w piecach palić zaczęto, spostrzegła, że w izbie jej się dymi. Posłała przeto po mularza, aby komin zbadał i naprawił. Wprawdzie, gdy ów człowiek wszedł do pokoju, uczuła do niego jakiś wstręt, lecz ponieważ wiedziała, że w biedzie jest, powiedziała prędko, o co chodzi i wyszła do drugiej izby.

Zaledwie kilka minut upłynęło, gdy nagle usłyszała krzyk; wbiegłszy do pokoju, zastała mularza, leżącego na ziemi z rozłupaną czaszką, a obok leżał wielki kamień, który urwał się z komina w tym momencie, gdy mularz zaglądał w niego, aby się przekonać, na czem zależy, że się dymi. Pani Etien posłała zaraz po lekarza i po żonę mularza. Lekarz stwierdził, że ranny zaledwie kilka godzin jeszcze pożyje. Żona zaś jego, gdy weszła do pokoju i o wszystkiem się dowiedziała, zawołała:

— Kara Boża! O Boże, Boże, nie rychliwyś, ale sprawiedliwy! Za zbrodnię śmiercią go karzesz!

— Mówicie o karze Bożej, kobieto, — rzekła pani Etien, — jak to być może?

— Ach, panuchno — odpowiedziała mularzowa — mój mąż był podczas komuny bardzo zacięty na panów, których prześladowcami wszystkich uczciwych ludzi nazywał. Pewnego dnia, przechodząc ulicą koło placu di Szatodo, spostrzegł dziecko, bawiące się na balkonie. Podniósł kamień wielki i zabił nim dziecko. Od tego czasu nie zaznał spokoju, albowiem sumienie ciągle go trapiło. Jednej nocy nie przespał spokojnie; budził się i przez sen wołał ratunku, bo mu się zdawało, że mu kamień na głowę spada. Ach, Boże, Boże, jakżeś sprawiedliwy!

Gdy pani Etien to usłyszała, zawołała:

— Kobieto nieszczęśliwa! To było moje dziecko, moja najdroższa Matylda. Wasz mąż tedy jest zabójcą mojej córeczki.

Potem padła przed krzyżem na kolana i zawołała:

— Boże najdobrotliwszy! Ty wiesz, że nigdy we mnie żadna myśl o zemście nie postała, żem się do Ciebie nie modliła, abyś pomścił na mordercy śmierć dziecka mego. Racz darować nieszczęśliwemu jego winę. Błagam Cię o to z głębi serca mego.

Kilka chwil jeszcze oddychał mularz; położono go na łóżku a obie kobiety klękły przy nim i modliły się, aby Bóg był mu miłosiernym sędzią. Ranny nie odzyskawszy przytomności, wyzionął ducha. Pani Etien kazała go pogrzebać na swój koszt, a dla wdowy wystarała się o posadę praczki przy lazarecie. Do dziś dnia żyje jeszcze i codziennie modli się za duszę mordercy jej dziecka.

Zaiste! Sprawiedliwe są wyroki Boskie a jeszcze do dziś są bohaterki chrześciańskie. W cichości i zaciszu pełnią bohaterstwo, mało kto o niem wie, lecz Bóg wie i pamięta i nie opuszcza tych, co Go kochają. Choć wszyscy opuszczą, On jeden nie opuści i w najsmutniejszych chwilach życia, w cierpieniach i bólach Opatrzność Boska czuwa, krzepi i podnosi.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Uniwersytet w Dorpacie. Gazety, przedewszystkiem niemieckie, pisały niedawno z wielkiem oburzeniem, że rząd moskiewski nazwę Dorpatu, miasta leżącego w Inflantach, (nad morzem Bałtyckiem) zmienił na Jurjew. Upatrywały w tej zmianie oczywisty dowód na to, że Moskale przez to chcą Niemcom, którzy w tem mieście i w całej okolicy mieszkają, dokuczyć, gdy nawet nazwę miasta na rosyjską zmieniają. »Poczciwe« te gazety, widzą źdźbło w oku Moskali, a belki w swojem nie widzą, albo nie chcą widzieć.

Nazwa Jurjew nie jest zresztą wymysłem jakiego rusyfikatora, lecz dawną nazwą, której z czasem zaprzestano używać, lecz która w starych księgach rosyjskich, zwanych kronikami, jest wyraźnie wymieniona,

Dorpat słynie przedewszystkiem ze swojego uniwersytetu czyli akademii, gdzie się uczą na sędziów, lekarzy, profesorów itd. Uniwersytet ten założony został przez króla Gustawa Adolfa w r. 1632. W następnych latach różne przechodził koleje, raz całkiem był zamknięty, drugi raz przeniesiono go na inne miejsce, aż wreszcie cesarz rosyjski Aleksander I ufundował go na nowo w r. 1802 i tak bogato wyposażył, że można było wszystkie wydziały rozszerzyć i udoskonalić; wnet też zbudowano kilkanaście wielkich gmachów, w których umieszczone różne potrzebne rzeczy. Między innemi uniwersytet posiada bibliotekę z 230 tys. dzieł się składającą. Do niedawnego czasu jeszcze wykładano w tej akademii wszystko po niemiecku, lecz gdy sąsiedzi Moskali nauczyli, jak się obchodzić z językiem ojczystym tych, którzy są pod wozem, zmiarkowali Moskale, że z tego się taki sens wywodzi, aby mowę niemiecką z uniwersytetu wyprzeć a rosyjską wprowadzić. I tak się częścią już stało, częścią się jeszcze stanie.

Domy 12 i 14-piętrowe w Chicago. W Stanie czyli prowincyi Illinois w Stanach Zjednoczonych Ameryki leży miasto Chicago. W r. 1830 liczyło ono 170 mieszkańców i było małą kolonią, o której mało kto wiedział. Ponieważ położenie tej kolonii było bardzo korzystne, przeto Chicago rozwijało się bardzo szybko, stało się miastem. W r. 1850 liczyło już 30 tysięcy, w r. 1870 prawie 300 tysięcy mieszkańców. Rok później spaliło się całe do szczętu, lecz w przeciągu 3 lat odbudowano je piękniej jeszcze a dziś liczy prawie pięć ćwierci miliona mieszkańców, między nimi kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Przepowiadają, że Chicago stanie się niedługo największem i najpierwszem miastem Stanów Zjednoczonych. W tem mieście odbędzie się też wystawa wielka w bieżącym roku, której główne gmachy podaliśmy na obrazku w dawniejszym numerze »Światła.«

Dziś podajemy osobliwość miasta, jakiej u nas w Europie widzieć nie można, a mianowicie domy tak wysokie, że lud amerykański o nich mówi, »iż niebiosa drapią,« przez co chcą powiedzieć, że prawie nieba sięgają. Domy te mają po 12 lub 14 piętr, a wszystkie mieszkania wydzierżawione za znaczne pieniądze, albowiem ładnie i wygodnie się w nich mieszka, gdyż wszystkie urządzenia w tych domach są doskonałe i wykwintne. Na dole czyli na parterze mieszczą się sklepy kupieckie z wielkiemi oknami, w których kupcy wykładają wszelkie rzeczy, jakie na sprzedaż mają. Nad sklepami są mieszkania; dla ułatwienia wejścia na górne piętra jest urządzona w sieni winda, za pomocą której wciągają mieszkańców aż na najwyższe piętra. Przy drzwiach wchodowych czuwa ciągle odźwierny, który dla mieszkańców domu wszystko odbiera np. listy, paczki itp. i sam roznosi. Wie on też, kto z mieszkańców w domu, a kto wyszedł; gość, chcący kogo nawiedzić, nie potrzebuje dopiero wchodzić do góry i szukać, bo dowie się o wszystkiem u odźwiernego. Domy owe tedy podobne są naszym oberzom, hotelom. Wodociągi są założone aż na najwyższe piętra; taksamo gaz i inne rzeczy dla wygody mieszkańców.

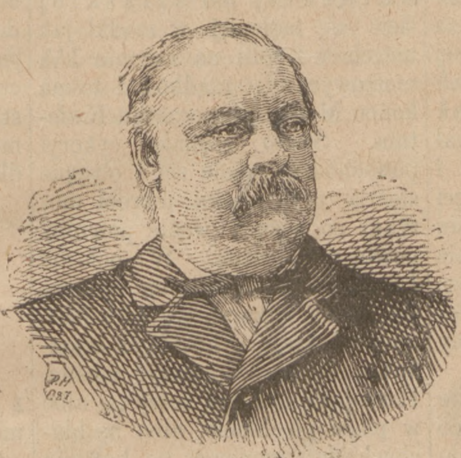
Znaleźli się przedsiębiorcy, którzy jeszcze wyższe domy budować chcieli, lecz rząd zakazał, albowiem obawia się, ażeby się domy nie zawaliły. Zarządy miast ograniczają przepisami budowy i słusznie. U nas nie byłoby wolno tak wysokich domów stawiać, gdyż jest przepis, jako dom w mieście może być najwyżej tak wysoki, jak szeroką jest ulica, przy której stoi. Przepis ten wydano dla tego, aby zbyt wysokie domy nadto nie zaciemniały ulicy i ażeby więcej światła słonecznego na ulicę padało.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

CLEVELAND,

nowy prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki.

4-go Marca b. r. objął urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych Grover Cleveland, wybrany w miesiącu Listopadzie przeszłego roku na przeciąg 4 lat. Wybierają go walmani, obrani przez wyborców, przez naród. Podobnie jak u nas przy wyborach do sejmu wybieramy najprzód walmanów, a ci dopiero posła, tak w Ameryce wyborcy każdego Stanu czyli prowincyi wybierają tylu walmanów, ile posłów do sejmu mają, a owi walmani wybierają prezydenta. Skoro go wybrali, urząd ich się skończył, zadanie ich spełnione. Posłowie sejmowi lub senatorzy, których także obierają na kartki, w powszechnem głosowaniu, nie mają żadnego głosu przy wyborze prezydenta.



Prezydent obierany bywa na 4 lata i ma wielkie prawa; dobiera sobie 7 ministrów, którzy się nazywają sekretarzami. Ci ministrowie nie mają takiej władzy, jak w innych krajach, albowiem sam prezydent jest odpowiedzialny za wszystko; ministrów ma do pomocy i wyręczenia.

Gdy nowy prezydent urząd objął, napisały pewne gazety, że teraz zacznie się w Ameryce »polityka uczciwych ludzi.« Te słowa wskazują, że Cleveland ma u ludu sławę porządnego, uczciwego człowieka, który objąwszy rządy, tak je będzie sprawował, iż dobro kraju na tem zyska. Wszyscy się też w tem zgadzają, że nowy prezydent jest człowiekiem szlachetnym i sprawiedliwym. Jakkolwiek nie jest katolikiem, lecz sprzyja katolikom a i Polaków lubi. To też prawie wszyscy katolicy różnych narodowości, (nie wyłączając Polaków), głosowali za nim. Rozgłoszono też, że Cleveland nie ścierpi przekupstwa urzędników, jakie pod jego poprzednikiem zachodziło, gdyż jak sam nie chce wyzyskiwać urzędu swego na korzyść własnej kieszeni, tak pragnie, aby i inni urzędnicy podobnie sobie postępowali. Dla Europy wybór Clevelanda ma wielkie znaczenie co się tyczy handlu. Były prezydent, Harisson, był zwolennikiem wielkich ceł na towary, przywożone z Europy do Ameryki. Skutkiem tych ceł, nie opłaciło się różnych wyrobów fabryk europejskich wysyłać do Ameryki, albowiem cło wysokie je bardzo przedrożyło. Cleveland nie jest przyjacielem wielkich ceł i słychać, że prawo dotychczasowe zmieni a cła zniży. Skoro się to stanie, natenczas będzie można więcej fabrykatów z Europy do Ameryki wywozić a przez to handel w różnych krajach Europy, mianowicie też w Niemczech, się poprawi.

O kawie słodowej ks. Kneipa i cykoryi.

Ksiądz S. Kneip, którego życiorys niedawno »Światło« podało, jest wielkim przeciwnikiem używania zwyczajnej kawy, jaką dotąd powszechnie ludzie spijają, i twierdzi, że ona to jest przyczyną zdenerwowania ludzi a głównie kobiet i dzieci. Zdanie to ma nie jedyny ks. Kneip, albowiem już dużo lekarzy przedtem dowodziło tego samego. Znaną jest, że kawa zawiera w sobie dużo cząstek zwanych coffeiną, która działa drażniąco nie tylko na nerwy ale i serce. Aby więc usunąć lub przynajmniej zmniejszyć niebezpieczeństwo zdenerwowania osób słabszych a głównie kobiet i dzieci, poleca gorąco ks. Kneip w Poradniku lekarskim w miejsce zwyczajnej kawy — kawę słodową. Kawę taką wyrabia pewna fabryka w Bawaryi i sprzedaje w paczkach funtowych z popiersiem ks. Kneipa. Powyższa kawa jest fabrykatem z kiełkującego jęczmienia czyli słodu i każdy ją sobie taniej sam sporządzić może wedle następującego przepisu. Bierze się porcyą dowolną czystego nie stęchłego opłókanego jęczmienia i moczy w naczyniu drewnianem, polawszy dostatnio letnią czystą wodą, poczem się stawia zimą w jakie ciepłe miejsce, a latem na słońcu. Skoro jęczmień zacznie kiełkować, a zgryzione ziarno nabierz smaku słodkawego, odelewa się wodę, jęczmień zaś skrapia przez przetak (czyli durszlag), sypie na gruby czysty papier lub na jaką czystą deseczkę i suszy w piecu po upieczeniu chleba lub też na placie kuchni żelaznej. Po wysuszeniu upala się ów słód w piecyku od palenia kawy, póki nie nabierze koloru żółtobrunatnego, nie zaś czarnego. Przy paleniu trzeba być bardzo ostrożnym, gdyż przepalony słód nie ma żadnej pożywnej wartości, a smak gorz-

ki. Upalony słód chowa się w dobrze zakorkowane flaszki lub też puszki blaszane. Przed użyciem miele się na młynku jak kawę i gotuje mocno przynajmniej ćwierć godziny, bierze się zaś mniej więcej łyżkę stołową umielonego słodu na 2 szklanki, wedle smaku. Koniecznem jest, aby słód się dobrze wygotował a płyn miał kolor ciemno-brunatny, przezroczysty, smak zaś słodkawy, nie gorzki. Kawę słodową można pić z mlekiem lub też bez mleka z dodatkiem cokolwiek cukru. Komu ten zapach słodu nie miły i kto za nadto do zwyczajnej arabskiej kawy przyzwyczajony, ten niech doda takowej cokolwieczek wedle potrzeby, a będzie miał i pożywność kawy słodowej i smak zwyczajnej zarazem. Dzieci bardzo prędko przyzwyczajają się do kawy słodowej, i doskonale je ona odżywia, dla tego radzę rodzicom dla dzieci tylko słodowej kawy używać. Praktyczny to napój a tani.

U bardzo biednych ludzi nie wyrządza kawa tyle szkody co u majętniejszych, gdyż oni mało tylko ziarn kawy biorą, a główną treścią kubka kawy jest odwar cykoryi, którą domięszają. Ale z tą cykoryą też nie jest bez »ale«. Dawniej, gdy była droższą, wyrabiano ją z korzenia cykoryi (Cichorium intibus), dziś gdzie wszystko przy taniości za grubym zarobkiem goni, wyrabiają z Bóg wie jakich korzeni, a gdy i tych nie starczy, to i domieszką mytego torfu nie gardzą. Wiedzą o tem gburzy (gospodarze) Prus Zachodnich i sami sieją i urabiają cykoryą, która jak twierdzi ks. S. Kneip w Poradniku lekarskim ma być bardzo zdrową, a przy cierpieniach żółci i wątroby nader pomocną. Kto więc pija kawę z cykoryą, niech ją sobie sam uprawia i fabrykuje i to w następujący sposób. Siew cykoryi magdeburgskiej lub szląskiej sieje się najlepiej w rządki jak marchew i robi na zagonie $1^1/_2$ metrowym pięć rządków i to na końcu Marca lub początku Kwietnia. Skoro roślinki cykoryi powschodzą, opiele się i obsypie ziemią czyli ohaka (obrobi motyką) co później wedle potrzeby powtórzyć można. W połowie Listopada przed mrozem wybiera się korzeń cykoryi, oczyści z liści, umyje i kraje w kosteczki cząstkowo, ile naraz ususzyć można. Pokrajaną cykoryą suszy się albo w piecu po chlebie, albo na blachach lub papierze na kominie aż do suchości. Gdy wszystka ususzoną zostanie, upala ją się po trochu w piecyku od palenia kawy, a upaloną miele najlepiej na żarnach, gdyż w młynku od kawy robota trwa za długo i jest zmudną. Umieloną cykoryę utłacza się w kamiennych garnkach i stawia do niestęchłego sklepu, lub na innem miejscu gdzie powoli zacznie wilżeć i nabierze koloru zwykłej cykoryi. Znawcy zapewniają, że taka cykorya im starsza, tem lepsza, a w każdym razie jest tania, zdrowa i bez torfu! Fabrykacyą suszenia, upalania, mielenia można urządzić zimą, gdzie to gosposie nie wiedzą z nudów co począć i do »Swiatła« czasem zajrzą! Kto chce sobie wyrabiać cykoryą podobną do kupnej w paczkach, to niech proszek cykoryi skropi odwarem dobrej kawy i doda doń tyle syropu burakowego do jedzenia, ile potrzeba do ugniecenia masy. Siewu za 10 fen. starczy na zagon, a dostać go można w każdym większym handlu nasion. *L. R.*

WŁAŚCIWA PRZYCZYNA.



— Niewiem doprawdy, gdzie mam pieniądze schować!
— A czy to ich masz tak dużo?
— To nie, — lecz moje wszystkie kieszenie na wylot podarte.

Praktyczne rady.

— **Wywabianie plam tłustych z papieru.** Chcąc wywabić plamę tłustą z papieru, sypie się na miejsce splamione miałką kredę i zostawia na 24 godzin. Najprzód dokonywa się tego na prawej, potem na lewej stronie.

— **Owoc jest środkiem leczniczym na rozmaite choroby.** Winogrona, szczególnie ciemne są bardzo pożywne i czyszczą krew.

Brzozkwinie, które nie powinny być zbyt dojrzałe, bardzo dobrze jeść naczczo.

Codziennie naczczo zjedzona pomarańcza jest dobrym środkiem na złe trawienie i przy dłuższej kuracyi takiej żołądek się wzmacnia i trawi dobrze.

Gotowane jabłka są dla dzieci niezbędne i zastąpią zupełnie przykre proszki i mikstury.

Sok z pomidorów jest wyborny dla cierpiących na wątrobę i cierpienie kiszkowe.

Sok melona wodnego jest nieoceniony na febrę i cierpienie nerkowe.

Sok z cytryny w czarnej kawie uśmierza ból głowy.

Sok z jarzyn ugotowany z cukrem uspakaja kaszel.

Skrofuły leczy herbata wygotowana z t a r n i n y; pić ją trzeba zimno zamiast wody.

P o z i o m k i, roztarte na miejsca odziębione, goją rany.

Rozmaitości.

* **Krajem najbogatszym w owocowe drzewa** jest Wyrtembergia; posiada bowiem 3 miliony drzew dorosłych jabłoń. Zbiór owocu z tychże bardzo nierówny. 1887 r. zebrano 29 tysięcy cent. podwójnych, w następnym roku zaś 2 miliony. Na jedno drzewo przypadnie w r. 1887 niespełna 1 kilogr. w następnym roku 65 kilogr. Jedno drzewo przyniosło czystego zysku 8 fen. do 2,41 mk. Jedno drzewo śliwkowe wydało pół kilogr. do 8 kilogr. owocu wartości 9 do 28 fen. Drzew wiśniowych było 300 tysięcy, z których każde wydało $1^1/_2$ do $10^1/_2$ kilogr. owocu w wartości 45 fen. do 2 mrk. W przecięciu 10-letnim wydały wszystkie gatunki drzew owocowych Wirtembergii w ilości 6,727,610 drzew, 686,060 podwójnych centnarów owocu, wartości 6,432,637 mrk.

* **Wysokość człowieka** wzrostu normalnego ma być taka sama, jak długość rąk rozpartych od końca palcy jednej ręki do końca palcy drugiej ręki.

* **Ile zimna znieść może Europejczyk**, wykazuje jedno z pism berlińskich na zasadzie roczników wypraw do bieguna północnego. Pierwszymi Europejczykami, którzy przebyli zimę na dalekiej Północy, byli Holender Barenta i jego towarzysze (1586—1587). W opisie tej podróży zapisano fakt, że gorąca woda, w którą włożono k o s z u l e do prania, zmarzła wraz z niemi na tak twardą masę, że pomimo silnego ognia, po długim czasie w niektórych miejscach tylko odtajała. Podróżnicy siedzieli tak blisko ognia, że futrzane ich ubranie opaliło się do skóry, a zaledwie zdołali uchronić się od zmarznięcia. W roku 1631 zimno w

Szkarpetki czy płaty?



Pewien jenerał, który lubił się pytać oficerów o najdrobniejsze rzeczy, stanął podczas chwilowego wypoczynku w manewrach przed pewną kompanią i rzekł do kapitana:

— Może mi pan powiedzieć, ilu z ludzi pana nosi szkarpetki a ilu obwija stopy w płaty?

— Ile ich razem, nie mogę powiedzieć, lecz wiem, co każdy z nich nosi.

Jenerał się zadziwił i wskazując na jednego żołnierza, zapytał kapitana:

— Coż ten ma na nogach szkarpetki czy płaty?

— Szkarpetki! — odrzekł kapitan.

Jenerał kazał zdjąć jeden bót owemu żołnierzowi

Jeszcze kilkanaście razy musiał kapitan powiadać o żołnierzach, co na nogach mają i zawsze się pokazało, że wiedział dokładnie. Jenerał pochwalił go i pojechał.

Inni oficerowie dziwili się, że kapitan tak doskonałą ma pamięć, — lecz on nic na to nie odpowiedział aż po manewrach.

Wtedy zawołał oficerów swojego batalionu i tak rzekł:

— Zagadkę łatwo wam wyjaśnię. Wydałem rozkaz, aby każdy żołnierz nosił na prawej stopie szkarpetkę, lewą zaś obwijał w płat. Przy rewizyi pokazuje żołnierz to, co powiem.

Ogólny śmiech powitał to wyjaśnienie przebie-

Grenlandyi było tak wielkie, że na skórze ludzkiej tworzyły się duże pęcherze. Człowiek wychodzący z domu na powietrze doznawał takiego uczucia, jak gdyby go siekano rózgami. Przytem kamienie i skały pękały z łoskotem, a ponad pokrytem powłoką lodową morzem unosiły się gęste obłoki pary. Podróżnik Parry i inni opisują, że skoro tylko takie mroźne pewietrze dostaje się do ogrzanego pokoju, natychmiast tworzą się obłoki pary, które pozostawiają grubą powłokę lodową na ścianach. Mięso, chleb, oraz inne środki żywności zamieniają się na twardą masę, która stawia opór łamiącym się piłom i toporom. Podczas słynnego przezimowania Kanesa w porcie van Renssel (1853—1855) zdarzały się często dni, w których każdy człowiek otulony był w tak gęsty biały obłok, że nie podobna go było poznać. Jeżeli się zdjęło czapkę z głowy, parowała jak miska z gotującemi się kartoflami. Przytem temperatura dochodziła do 60 stopni F. Pisać na powietrzu można było tylko nad lampą spirytusową. Payer opisuje oddziaływanie takiej temperatury na człowieka. Puls bije wolniej, człowiek staje się obojętny, apatyczny, traci siły, powieki ma zamarznęte i sztywne, nogi go bolą, przytem czuje gwałtowne pragnienie, zarost zamienia się w jeden sopel lodu, następuje osłabienie nerwowe, senność, a często obłęd umysłowy. Podczas angielskiej wyprawy do bieguna północnego od 1875—1876 r. zauważono 73 stopnie F. zimna; podczas ostatniej ekspedycyi dla odszukania Franklina pod przewodnictwem zmarłego niedawno porucznika Schwatki (r. 1878 do 1880) termometr spadł w styczniu r. 1880 do 71 stopni F., a przez szesnaście dni przeciętna temperatura wynosiła 100 stopni poniżej zera. Pomimo to Schwatka szedł ciągle naprzód, ubierając się i żywiąc zupełnie jak Eskimosi. Ludy podbiegunowe zwłaszcza Jakuci, zatracili zupełnie wrażliwość na zimno. Nocują wśród zimy na powietrzu, przykryci zaledwie starym płaszczem ze skóry renifera. Tak do mrozu przywykli, że go już nie czują.

ŻARTY.

Pewien bogaty oryginał powiesił na pałacu swym tablicę z takim napisem: „Kto dowiedzie, że jest zupełnie szczęśliwym, otrzyma ten pałac na własność.“

Pewnego razu przed dziwakiem staje nieznajomy i mówi:

— Oddaj mi pan nagrodę, jestem szczęśliwy.

— Mylisz się pan, — odpowie mu dziwak, — gdybyś nim był, nie chciałbyś pałacu.

Jakieś podróżujące towarzystwo starało się w tem znaleść swą przyjemność i rozrywkę, że wypytywało się wieśniaków o rozmaite rzeczy a następnie z ich odpowiedzi się naśmiewało. Jeden z owego towarzystwa, wymuskany jakiś paniczek, zapytał się mimo przechodzącego wieśniaka, czemu to tam nade drogą owa figura stoi?

— Proszę pana, — odrzekł poczciwy chłopek, który się poznał na francie, tam się przed kilku laty stał cud!

— A co za cud, mój przyjacielu, — badał ciekawy.

Wieśniak odpowiedział:

— Tam przed kilku laty pewien człowiek rozum odzyskał, a był prawie tak głupi jak pan.

Sędzia: Znowuś tutaj, czyż żadna kara poprawić cię nie zdoła?

Oskarżony: Ach, panie sędzio, daję słowo, że mam najlepsze zamiary, ale jak sobie człek w święta podpije... pan sędzia wie najlepiej, jakie z tego skutki.

Zagadki z nagrodami.

1. Serce i głowa.

Kt7 46ę tylk7 4er3e5 r2ąd26,
2byt łltw7 błąd26;
Kt7 46ę tylk7 gł7wy r1d26,
32ę4t7 21wld26,
Le23 gd26e gł7wl 2 4er3em w p1r2e
T15 7 pr1wdl 46ę uk1że.

Czesław Lubiński.

W powyższym wierszyku jest 8 głosek oznaczonych liczbami (od 1 do 8). W miejsce każdej liczby należy wyszukać odpowiedniej litery, a całość przedstawi się jako sześciowiersz poety górnoszląskiego, Czesława Lubińskiego.

2.

Z następujących sylab:

E, na, ski, A, a, O, kacz, Bi, di, Na, wiec, A, szczyń, nam, Rzym, we, Der, dy, O, nal, brzyn, ni, cho, Nor, ta, Kal, klend, Le, niec, row, rak, Do, gi, Wierz, ski, ky.

Złożyć wyrazy: 1. Miasto w Indyach. 2. Miasto na wyspie Nowej Zelandyi. 3. Państwo w Europie. 4. Stolica papieża. 5. Wolne państwo w Indyach. 6. Szlachcic z poematu „Pan Tadeusz“. 7. Koń przeznaczony do wyjazdu wierzchem. 8. Trunek. 9. Nazwisko ojca królowej francuzkiej. 10. Samogłoska. 11. Rzeka. 12. Sławny bandyta włoski. 13. Poeta polski. 14. Ptak przebywający na błotach. Początkowe litery tych wyrazów składają tytuł utworu, a końcowe imię i nazwisko poety tegóż utworu.

3.



Za dobre rozwiązanie przeznaczamy 20 nagród w książkach. Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do końca Maja.